

Platon

Obrona Sokratesa

BRYK  PL



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

tlum. Felicjan Antoni Kozłowski

Jakie na was, Ateńczycy, uczynili wrażenie moi oskarżyciele, nie wiem. Co do mnie, słysząc ich, ledwom nie zapomniał o sobie; tak mocno mówili do przekonania, choć prawdy, słowem mówiąc, żadnej nie wyrzekli. Najbardziej zaś z wielu fałszów, które wymyślili, nad tym się zdziwiłem, gdy mówili, że wam się strzec potrzeba, byście się nie dali uwieść mojej wymowie. Że się nie powstydzili tego, iż zaraz na miejscu ode mnie inaczej przekonani zostaną, gdy się bynajmniej nie pokażę wymownym, sądzę, że dali przez to dowód największej swojej beczelności; chyba, że wymownym nazywają tego, kto prawdę mówi. Jeżeli tak utrzymują, przyznam się być mówcą, ale bynajmniej im niepodobny. Oni, jak mówię, żadnej nie wyrzekli prawdy: z mych ust usłyszycie ją całą, nie w wyszukanych, ręczę wam, Ateńczycy, wyrazach, nie w sztucznie i ozdobnie ułożonych, jakich oni używali, lecz w prostych i zwyczajnych. Sądzę, że co mówię, jest niezawodną prawdą. Niechaj nikt czego innego po mnie się nie spodziewa. Nie przystałoby wiekowi mojemu występować przed was na kształt młodzieńca, który dopiero wprawy w wymowie dla siebie szuka. Owszem, oto was proszę i błagam Ateńczycy, nie dziwcie się i nie obrażajcie, gdy mnie usłyszycie w tym miejscu, tym samym głosem, z tą samą prostotą, na moją obronę odzywającego się, z jakąm był zwykł mawiać na placu publicznym, przy stołach bankierów, gdzieście mnie często słyszeli. Tak się bowiem rzecz ma. Pierwszy raz dopiero występuję teraz przed sąd, siedemdziesięcioletni już przeszło starzec. Nie znam więc sposobu, w jaki się tu mówi. Podobnie jak gdybym był cudzoziemcem, nie poczytalibyście mi za złe, gdybym do was przemówił językiem i sposobem, jaki z wychowania powziąłem, tak i teraz nie uważajcie na kształt moich wyrażań, które mogą być rozmaite: zaklinam was o to, i zdaje się, że słusznie czynię. Zwróćcie tylko całą waszą uwagę na to, czy prawdę mówię lub nie. Ten jest obowiązek sędziego; do mówcy należy prawdę mówić.

Najpierwej wypada, Ateńczycy, bym wam okazał fałszywość dawniejszych przeciw mnie zarzutów, odpowiedział dawniejszym moim oskarżycielom, a dopiero zwrócił się przeciw dzisiejszym; wielu już bowiem obwiniąło mnie od dawna przed wami, w niczym nie oszczędzając zmyślenia. Tych ja obawiam się więcej niż samego Anyta i jego stronników; chociaż i ci wiele mogą swoją wymową, tamci jednak daleko groźniejsi, którzy od dzieciństwa waszego, Ateńczycy, wami się zajmując, wpoili w was fałszywe uprzedzenie że Sokrates, pewien mędrzec, chce zbadać rzeczy nadziemskie, dojść, co się za światem dzieje, i fałsz za prawdę podaje. Ci, co te wieści roznoszą, są moimi

najniebezpieczniejszymi przeciwnikami: bo kto ich mowę usłyszy, sądzi, że badacz rzeczy podobnych nie wierzy w bogów. Do tego, są oni liczni i od dawna usiłovali mnie już podać w waszą nienawiść, z tym większym dla siebie skutkiem, że to w wieku dzieciństwa i młodości wam wystawiali, kiedyście najłatwiej mogli uwierzyć, a nikt wam prawdy nie odkrył, że oskarżali człowieka, który się nie bronił. Ale najgorszym z tego wszystkiego jest, że nie można nawet nazwisk ich wiedzieć i wymienić, prócz że ma być między nimi jakiś pisarz komedii. Nie znając więc tych, co przez zazdrość, dla oczernienia mnie, zaszczepili w was złe o mnie mniemanie ani tych, co uwiedzeni od drugich udzielali innym tegoż samego zdania, nie mogę ich przed sąd tu powołać i naocznie wywieść z błędu: lecz muszę jakby wpośród nocy walczyć i odpierać natarcia, nie widząc nikogo przed sobą, na którego bym prosto uderzył. Zważcie więc, że mam, jak mówię, dwoistych oskarżycieli: jednych, których dopiero co słyszeliście, drugich od dawna mi nieprzyjaznych, jak wspomniałem. Przyznajcie zatem, że wypada mi naprzód tamtym odpowiedzieć, bo ich skargę pierwiej i lepiej poznaliście. Tak! Już czas wznieść głos na moją obronę i wybić wam z głowy uprzedzenie, którym od tak dawna byliście przeciw mnie powodowani! Chciałbym, by to mogło nastąpić! Ocalony potrafiłbym jeszcze coś więcej dla was i dla siebie dobrego uczynić. Lecz wiem, że trudno będzie tego dokazać, i nie tajno mi, jak nawet dalece. Niech się więc stanie w tym wola Boga! Ja obowiązany prawom ulegać, powinienem się bronić. Powtórzmy więc jeszcze raz, jaki jest przedmiot skargi, dla której Melit wywiódł mnie tu przed sąd. Cóż zeznali moi przeciwnicy? Niech będzie przeczytane przewinienie, które mi pod przysięgą zarzucają. Sokrates występnie czyni i wykracza, zapuszczając się w badania rzeczy nadziemskich i fałsz za prawdę podając. Oto taka jest skarga! Toż samo widzieliście w komedii Arystofanesa, gdzie wystawiono Sokratesa w powietrzu mówiącego, że nad świat się wznosi i wiele podobnych niedorzeczności prawiącego. Z tych ja wcale nic nie rozumiem. Nie mówię jednak z obawy skargi Melita, żeby się kto nie znalazł, co by je rozumiał; lecz w istocie wiercie mi, Ateńczycy, nigdy się podobnymi rzeczami nie zajmowałem. Spomiędzy was samych wielu tu wzywam za świadków! Proszę, powiedzcie jedni drugim, którzyście tylko mnie kiedy słyszeli mówiącego (a wielu takich pomiędzy wami tu widzę), czyliście kiedy z ust moich o takich rzeczach mowę usłyszeli? Możecie stąd, Ateńczycy, sądzić o reszcie, co mi zarzucają, że tak nie jest i mnie się nie tyczy. Jeżeli wam mówią, że się trudnię uczeniem i pieniądze zbieram, fałsz głoszą! Lubo i to nawet uważam za rzecz przyzwoitą, gdy kto umie tak udzielać nauki jak Gorgiasz z Leontinoi, Prodikos i Hippiasz z Elei. Oni bowiem chodząc od miasta do miasta, umieją

młodzież tak zająć nauką, że ta, choć może w domu pobierać ją darmo, ciśnie się do tamtych, przynosi pieniądze i wdzięczność swoją oświadcza. Jest oto nawet i tu w Atenach podobnie uczony mąż z Paros, o którego przybyciu się dowiedziałem. Gdym się raz zszedł z Kalliasem Hipponikiem, naszym obywatelem, który najwięcej płaci nauczycielom od synów (ma ich bowiem dwóch), rzekłem: Kalliasie! Zapewne gdyby ci się parę młodych koni lub bydła urodziło, poszukałbyś dla nich człowieka, który by je wychował jak należy, to jest jakiego woźnicę lub pasterza. Mając zaś synów, kogóż wziąć myślisz dla nich za stróża i nauczyciela? Kogoż znasz takiego, który wie wszystko, co człowiekowi i obywatelowi przystoi? Sądzę, że gdy masz synów, musiałeś się już pierw nad tym zastanowić! Czy znasz kogo takiego? — mówiłem dalej. Znam, odpowiedział. Któż więc nim jest? Co za jeden? Jest Evenus, Sokratesie, rzekł Kallias, rodem z Pafos, bierze po pięć min. Szczęśliwy, zawołałem, jeśli prawdziwie posiada taką naukę i udziela jej tak tanio. Ja sam szczyliłbym się niezawodnie i chlubił, gdybym tyle umiał... Ale nie jestem tak uczony, oświadczam wam, Ateńczycy. Może jednak kto z was na to mi odpowie: cóżeś więc zrobił, Sokratesie? Skąd na ciebie te skargi? Gdybyś nic osobliwego nie zrobił, nie mówiono by tyle o tobie! Musiałeś więc coś osobliwego zrobić! Powiedz nam, co takiego, byśmy o tobie nie wydali fałszywego sądu! Nic słusniejszego nad głos taki. Wyjawię więc wam, co mi sławę, a co nieprzyjaciół zjednało. Słuchajcie!!! Bo może niektórzy z was będą mniemać, że was łudzić będę. Bądźcie owszem pewni, że wam szczerze wszystko opowiem! Nabyłem sławy przez mądrość taką, jaka jest przyzwoita ludziom. W istocie, takim tylko jestem mędrce. Oni zaś, o których wam dopiero co wspomniałem, posiadają nadludzką mądrość. Ja się do niej wcale nie przyznaję: kto przeciwnie mówi, fałsz mi zadaje i na moją zniewagę dąży. Nie obrażajcie się, Ateńczycy, gdy to, co wam powiem, zdawać się wam będzie chępliwe. Nie swoje jednak przytoczę tu wyrazy, lecz kogo innego, z powagą godną wiary wyrzeczone. Przytoczę wam za sędziego Apollina Delfickiego. Znacie wszyscy Cherofonta. Był on moim przyjacielem od dzieciństwa, równie jak wielu spomiędzy was. Podzielił razem z wami wygnanie i razem powrócił. Znacie więc dobrze, jak jest śmiały we wszystkim. Będąc raz w Delfach, odważył się spytać wyroczni względem mnie. Nie obrażajcie się, Ateńczycy, jeszcze raz was proszę, na to, co powiem!! Pytał, czyli jest kto mędrszy nade mnie? Odpowiedziała wyrocznia, że nie masz! Może wam o tym zaświadczyć brat jego, gdyż sam nie żyje. Zważcie, dlaczego o tym wspominam! Chcę pokazać, skąd przeciw mnie powstała skarga. Usłyszawszy odpowiedź wyroczni, rozmyślałem, co by znaczyły słowa Apollina, co by dawały do zrozumienia; bo ja sobie

wcale nie przyznaję mądrości. Omylić się zaś Apollo nie mógł, bo mu to nie przystoi. Przez długi czas zostawałem tedy w takiej wątpliwości. W końcu musiałem się udać do następującego środka. Poszedłem do jednego z takich, których mają powszechnie za mędrców, bym zbił zdanie wyroczni i pokazał, że oto ten ode mnie mędrszy, a ty Apollinie mnieś wyższość nad innych przyznał. To miałem na celu, gdym poszedł, nie potrzebuję po nazwisku wymieniać do kogo, dosyć, że nim był jeden z biegłych w sprawach publicznych. Wdawszy się z nim w rozmowę, poznałem, że miany był od wielu za mądrego i uważał się sam jeszcze więcej za takiego, ale nim nie był wcale. Staralem się mu pokazać, że za wiele o sobie sądził, że sobie przyznawał mądrość, a jej nie miał bynajmniej. Przez to zrobiłem sobie u niego nienawiść i u wielu, co obecni byli.

Wychodząc stamtąd, pomyślałem sobie, że jestem mędrszy od tego człowieka: albowiem nikt może z nas nie wie, co dobre i co wszystkim przyzwoite, a on utrzymuje, że wie, choć nie wie. Ja, kiedy nie wiem, to sobie nie przyznaję; zdaje się więc, że jestem nad niego choć w tej małej rzeczy mędrszy, że czego nie wiem, o tym nie twierdzę z pewnością. Poszedłem potem do innego, to jest do jednego z takich, których mają za mędrszych od tamtego; ale i tam znalazłem podobnie. Zrobiłem sobie więc w nim i innych również nieprzyjaciół. Nareszcie chodziłem po kolei od jednego do drugiego, zasmucony, że sobie narobił nieprzyjaciół; jednak zdawało mi się, że sprawę wyroczni trzeba nad wszystko przekładać i dla dojścia, co ta w swej odpowiedzi mówi, obchodzić wszystkich, którzy tylko zdają się coś wiedzieć. Zaprawdę wam powiadam, Ateńczycy, należy bowiem ją przed wami mówić, gdym podług słów wyroczni rzeczy dochodził, przekonałem się, że ci wszyscy, którym największą przypisują mądrość, najmniej jej mają, a których mniej rozumnymi uważają, zdolniejsi są do rozsądnego myślenia. Opowiem wam całe moje zabiegi, którym czyniłem, by słowa wyroczni próżnymi nie zostały. Od biegłych w sprawach publicznych udałem się do poetów, tragiczków, liryków i innych, w mniemaniu, że tam poznam moją niewiedzę. Zaczawszy od dzieł, którym uważał za najdoskonalsze, badałem z nich, co bym mógł nowego się dowiedzieć. Wstyd mi, Ateńczycy, powiedzieć prawdę! Muszę ją przecie wyznać. Słowem mówiąc, prawie wszyscy tam przytomni lepsze o nich dali zdanie, niż ci, którzy je sami napisali. Stąd wniosłem, że poeci nie przez rozum wiersze składają, lecz przez dar natury i zapał, który ich unosi podobnie jak wieszczków, którzy przepowiadają wiele rzeczy pożytecznych, ale wcale nie rozumieją, co mówią. Toż samo, zdaje mi się, mają poeci w swej naturze: poznałem, że i oni dlatego, że są poetami, chcą uchodzić za mądrych w rzeczach, których nie rozumieją. Odszedłem więc od nich z przekonaniem, że jest od nich

mędrszy, jak od owych biegłych w sprawach publicznych. Nareszcie udałem się do rękodzielników, sądząc, że ich umiejętności wcale nie znałem. Spodziewałem się, że u nich znajdę wiele pięknych wiadomości. Jakoż w tym się nie zawiodłem: czego nie znałem, w tym byli ode mnie mędrsi. Ale zdawało mi się, Ateńczycy, że i ci pocziwi dla dobra publicznego pracownicy w tym samym co i poeci zostawali błędzie. Dlatego, że każdy z nich był w swojej sztuce biegły, chciał uchodzić u innych za najmędrszego i ta ich nedorzecznosc prawdziwą mądrość przyćmiła. Tak wreszcie samego siebie w imieniu wyroczni musiałem zapytać, co bym z dwojga wybrał, czy pozostać się przy swoim, nie mając mądrości i wad tych wszystkich, czy je nad swoje przełożyć. Rzekłem sam do siebie i do wyroczni, że wolę przestać na swoim. Tak szukając prawdy, zjednałem sobie wiele zawziętej i nieubłaganej nieprzyjaźni. Z niej to poszło mnóstwo fałszywych przeciw mnie zarzutów i ów tytuł mędrca, którym mnie mianują. Sądzą bowiem, że gdy komu w czym nieznajomość zadaję, sam to lepiej znać muszę. W istocie zaś podobno sam Bóg tylko jest mądrym i Apollo w swej odpowiedzi daje do zrozumienia, że rozum ludzki mało albo wcale nic nie znaczy. Zdaje się, że dlatego moje imię wymienił, aby przywiódł za przykład, że ten jest najmędrszy, który jak Sokrates poznał, że rozum jego niczym jest w powszechnej mądrości. Tego właśnie zdania ja sam teraz szukam i badam u każdego, o kim tylko z obcych lub obywateli [jako o] mądrym słyszę; i jeżeli takim go nie widzę, podług słów Apollina powiadam, że nim nie jest. I dlatego nie miałem czasu dotąd należeć do żadnych spraw publicznych w Rzeczypospolitej ani prywatnych; lecz żyję w ustroniu, zajęty jedynie tą dla Apollina przysługą. W takim stanie młodzież najbogatszych obywateli, mająca najwięcej sposobności nabycia nauki, zbiega się do mnie; lubi chętnie przysłuchiwać się, gdy zbijam mniemania cudze; sama mnie naśladuje, zastanawia się i znajduje, jak się nie mylę, wielką liczbę takich, co sądzą, że coś wiedzą, a tymczasem bardzo mało lub wcale nic nie wiedzą. Stąd ci, których takimi poznaję, gniewają się nie na nią, lecz na mnie, i mówią, że Sokrates najwinniejszy! On psuje młodzież! A gdy ich się kto spyta, co z nią robi i czego jej naucza, nie chcą odpowiedzieć; i tylko, żeby się nie zdawali sami nie wiedzieć, co mówią, zarzucają to, co o każdym miłośniku mądrości powiedzieć można: że zgłębia rzeczy boskie, nadziemskie, w bogów nie wierzy i fałsz za prawdę podaje. Prawdy pewno nie chcą wyznać i udają, że coś wiedzą, choć nic nie wiedzą. Ponieważ zaś, jak mniemam, są troskliwi o swoją sławę, przy tym śmieli i liczni, rozpowiadając więc o mnie wiele rzeczy umyślnie, sposobem łatwym na pozór do przekonania, napełnili już dawno uszy wasze zarzutami przeciw mnie wymyślonymi i teraz je

napełniają. Spomiędzy nich wystąpili przeciw mnie Melit, Anyt i Lykaon. Melit, obrażony za poetów, Anyt, ujmując się za rękodzielnikami i tymi, co spraw publicznych pilnują, Lykaon broni retorów; tak, iż mocno bym był zdziwiony, jak to już na początku wyrzekłem, gdybym w tak krótkim czasie potrafił wam tyle razy na mnie miotane zarzuty z głowy wybić. Oto macie całą prawdę, Ateńczycy! Nie ukryłem nic przed wami ani nie zatailem! Lubo wiem, że jestem za to znienawidzony, jednak stanie się to dowodem, że prawdę mówię i że stąd właśnie poszła przeciw mnie skarga oraz wszystkie do niej powody. Czy teraz, czy później nad tym się zastanowicie, znajdziecie zawsze wszystko jednakowe. Tyle miałem do powiedzenia za sobą przed wami, co do dawniejszych przeciw mnie zarzutów. Teraz będę się starał oczyścić z tego, co mi Melit, ten dobry i nader przywiązany, jak sam mówi, do kraju obywatel zarzuca wraz z innymi. Przytoczmy zatem tych drugich oskarżycieli zaprzysiężoną przeciw mnie skargę. Jest ona podobno w ten sposób: Sokrates występnie działa, młodzież psuje, w bogów krajowych nie wierzy, lecz w coś nowego zupełnie. Takie jest mnie obwinienie! Roztrząśnijmy każdy punkt z niego. Mówią, że występnie działam, psując młodzież. Ja zaś oświadczam, Ateńczycy, że Melit występnie działa, kiedy ze spraw poważnych igraszkę dla siebie robi, pociągając ludzi lekkomyślnie do sądu i udając, że się ujmuje za tym, o czym nigdy wcale nie myślał. Że tak jest, zaraz wam to okażę. Przystąp, Melicie, i powiedz, czy uważasz co nad to ważniejszym, aby młodzież była dobra?

— Nie, zaiste!

— To więc wyznaj wobec tych sędziów, kto ją do dobrego prowadzi? Musisz wiedzieć, bo cię to obchodzi! Kiedy mnie tu pociągasz i przed sądem oskarżasz, że psuję młodzież, powiedz, kto ją do dobrego prowadzi? Powiedz i wskaż, kto taki?! Widzisz, że milczysz Melicie! I nie masz co odpowiedzieć! Czyliż więc to nie szpetnym dla ciebie, a dostatecznym tego, co mówię, jest dowodem, żeś o tym wcale nie myślał. Powiedz przecie, dobry mężu, kto ją do dobrego prowadzi?

— Prawa!

— Ale nie o to cię pytam, ty najlepszy! Tylko co za człowiek jest tym, i który najpierwej poznał te prawa?

— Oto ci Sędziowie!!

— Co mówisz, Melicie? Oni umieją młodzież wieść do dobrego?

— I bardzo!

— Czy wszyscy, czy tylko niektórzy?

— Wszyscy!

— Bardzo dobrze mówisz! Więc podług ciebie mamy wielu takich. Czyli także i ci słuchacze młodzież do dobrego prowadzą?

— I ci!

— A co powiesz o Senatorach?

— A, i Senatorowie.

— Lecz zważ, czy ci, co radzą na zgromadzeniach ludu, nie psują znowu młodzieży lub może ją wszyscy także do dobrego prowadzą?

— A i oni ją prowadzą!

— Wszyscy zatem Ateńczycy jak należy, prócz mnie samego, z nią postępują! Ja sam tylko ją psuję! Czy tak mówisz?

— Tak, nie inaczej!

— Bardzo więc mnie potępiasz! Powiedz mi jednak, czyli ci się toż samo zdaje i z końmi, że wszyscy je dobrze wychowują, a jeden tylko ktoś psuje? Czyli też przeciwnie, że jeden tylko może je dobrze wychowuje lub mała liczba nimi się zajmujących, a wielu skoro ich dostanie i spróbuje, zaraz psuje? Czy nie tak jest, Melicie, z końmi i innymi zwierzętami? Nie inaczej zapewne! Czy mi to z Anytem przyznasz, czy nie! Wielkie by to było szczęście dla młodzieży, gdyby tylko jeden ją psuł, a wszyscy do dobrego prowadzili. Dajesz stąd wyraźnie poznać, żeś się o stan młodzieży nigdy nie troszczył i jawnie pokazujesz, żeś na to zupełnie był obojętny, za co mnie tu przed sąd wywodzisz. Powiedz jeszcze, Melicie, zaklinam cię na Boga, czyli lepiej przebywać pośród dobrych niż pośród złych obywateli? Powiedz, dobry przyjacielu! O nic trudnego cię nie pytam. Czy źli nie czynią zawsze coś złego tym, z którymi przebywają, a dobrzy coś dobrego?

— Nie inaczej!

— Czy by więc kto wołał szkodę ponieść od tych, z którymi przestaje, niż co dobrego doświadczyć? Odpowiedz, dobry przyjacielu! Albowiem i prawo nakazuje ci odpowiedzieć! Czy jest kto, co by chciał w czym szkodzić?

— Nikt bez wątpienia!

— Czy pociągasz mnie tu i oskarżasz, że psuję młodzież umyślnie, czy mimowolnie?

— Może umyślnie!

— Jakże to Melicie? Ode mnie przecie jesteś mędrszy w tym wieku, ode mnie w takim zostającego, że wiesz, iż źli zawsze coś złego robią tym, z którymi przestają, a dobrzy coś dobrego! Ja zaś tyle jestem ograniczony, że i tego nie wiem, czy jeśli kogo z tych, co ze mną przestają do złego poprowadzę, sam będę musiał od niego doświadczyć także coś złego. Tak jak mówisz, umyślnie złe gotuję. Tego ci wcale nie wierzę i sądę,

że albo nie psuję młodzieży, albo jeśli psuję, to nieumyślnie. W obydwu razach fałsz utrzymujesz. Jeżeli nie z umysłu psuję, tedy za nieumyślne przewinienie prawo nie każe tutaj pociągać, lecz na osobności ostrzec i napomnieć. Każdy wie bowiem, że gdybym był napomniany i ostrzeżony, przestałbym to robić, com zrobił niechcący; ty zaś unikałeś przede mną, byś się ze mną nie spotkał i ostrzegł. Nie chciałeś mnie napomnieć; a teraz mnie tu pociągasz, gdzie prawo każe tylko tych pociągać, co zasługują na karę, a nie na napomnienie. Tak więc, Ateńczycy, jawnym już jest, co mówię, że powód do skargi, który podaje Melit, wcale go nie obchodził! Jednakże powiedz, Melicie, skąd sądzisz, że psuję młodzież? Może to jest w samej skardze, którą na mnie podajesz że każe nie wierzyć w bogów, w których u nas wszyscy wierzą, lecz w coś zupełnie nowego. Czy nie tak sądzisz, że tym sposobem psuję?

— Nie inaczej, tak i bardzo!

— Na tych samych jednak bogów, o których mowa, zaklinam cię, Melicie, wytłumacz się mi jaśniej i tym mężom; bo ja nie mogę pojąć, czy mówisz, że każe w coś wierzyć? W tym razie bowiem, wierząc w coś, nie jestem bez religii. Czy też, że wierzę, ale nie w tych bogów, w których wszyscy u nas, lecz w coś innego? I o to właśnie mnie oskarżasz. Czy wreszcie mówisz, że wcale w nic nie wierzę i innym każe to robić? O godny dziwu Melicie! Dlaczegoż tak sądzisz? Że nie wierzę w Księżyc, Słońce, że ich nie uznaję za bogi jak inni. Nie! Przysięgam, Sędziowie, bo mówią, że Słońce jest kamieniem, a Księżyc ziemią. Musisz więc, kochany Melicie, podać skargę na Anaksagorasa; bo czyż tak źle sądzisz o tych sędziach, i tak ich uważasz za mało obeznanych z dziełami, iż mniemasz, że o tym nie wiedzą, że księgi Anaksagorasa mieszczą w sobie te zdania. A przecież i młodzież to wie ode mnie i nawet z orchestry za dwie drachmy najwięcej dowiedzieć by się mogła i wyśmiać Sokratesa, gdyby on udawał to za swoje, co należy do kogo innego i samo z siebie jest niedorzeczne. Przeto już więc zdaje ci się, Melicie, że w nic zupełnie nie wierzę. Ja widzę, że ty Melicie nie zasługujesz, byś sam sobie wierzył. Za takiego go uważam, Ateńczycy, za potwarcę bez granic i że skargę tę przeciw mnie podał przez skłonność zbytnią rzucania na drugich potwarzy, przez niepowściągliwość swej mowy i lekkomyślność. Podobnie zaiste postąpił, jakby sobie żart robił i chciał spróbować, czy Sokrates, ten mędrzec, pozna, że ja z niego żartuję i sam z sobą w sprzeczności zostaję; czy też da się zwieść tak jak inni słuchający; albowiem sam przeciw sobie Melit mówi w skardze, gdy twierdzi: „Sokrates występnie postępuje, nie wierząc w bogów, tylko w nich wierząc”. Mowa taka żart tylko okazuje. Zastanówcie się, Sędziowie, dlaczego powiadam, że tak twierdzi. Ty zaś, Melicie,

odpowiedz nam, a wy, o co was od początku prosiłem, nie gniewajcie się na mnie, gdy do was zwyczajnym sposobem mówić będę. Jestże kto taki Melicie, co by twierdził, że są rzeczy ludzkie, a ludzi nie masz? Odpowiedz, a nie gniewaj się znowu! Jestże kto, co by mniemał, że nie masz koni, ale są rzeczy, które ich się tyczą, że nie masz muzyków, fletni, ale tylko to, co do nich należy? Nikt bez wątpienia, o najlepszy z ludzi! Jeżeli nie chcesz tego powiedzieć, to ja ci i innym wszystkim powiadam! Ale przynajmniej odpowiedz, czy jest kto, co by w coś boskiego uwierzył, a w bogów nie wierzył?

— Nikt!

— Czegożeś się wahał, żeś aż dopiero teraz z musu odpowiedział? Czy nie przyznajesz, że wierzę w coś boskiego i w to wierzyć każę, czy to co nowego, czy starego, zawsze jednak coś boskiego, jak mówisz. Na to sam w zeznaniu przysięgnę. Jeżeli więc w to wierzę, muszę i w bogów wierzyć. Czyliż nie tak wnosić trzeba? Nie inaczej! Sądzę że się na to zgadzasz, kiedy milczysz. Czy to, co jest boskie, nie uznajemy samymi bogami albo za od nich pochodzące? Skoro zatem wierzę w coś boskiego, a tym są bogowie, wypada to, co mówię, że robisz sobie żarty, twierdząc raz, że nie wierzę w bogów, a drugi raz znowu, że w nich wierzę, kiedy coś boskiego uznaję. To, co jest boskie, pochodzi od bogów, z nimf wydane lub innych bóstw, do których należy; któż by zatem z ludzi uwierzył, że jest to, co od bogów pochodzi, a samych bogów nie ma? Podobnie byłoby niestosownym, jak gdyby ktoś mówił: jest to, co od koni i osłów pochodzi, a koni nie ma. Lecz Melicie, nie inaczej, tylko dla doświadczenia nas podałeś przeciw mnie skargę albo żeś nic nie wiedział, co byś mi prawdziwie mógł zarzucić; niepodobna bowiem, bym mógł kogo przekonać, choćby takiego, co by najmniej miał rozsądku, że jest człowiek, który wierzy w coś boskiego, a w bogów nie wierzy. Przeto zdaje mi się, Ateńczycy, że z tego, o co mnie oskarża Melit, nie potrzebuję się już więcej oczyszczać. Ale jak wyżej wspomniałem, powstała przeciw mnie zacięta wielu nienawiść! Wiecie o tym dobrze: to właśnie może mnie tylko zgubić, nie zaś Melita ani Anyta skargi, lecz wielu innych potwarze i zazdrość, jak już znaczną liczbę dobrych zgubiła, tak i mnie zgubi. Nic zatem dziwnego, że mnie ten los spotka. Może jednak kto na to odpowie: „Nie wstydzisz się Sokratesie, żeś tak postępował, i żeś się teraz naraził na niebezpieczeństwo śmierci?” Temu ja nawzajem odpowiem: mylisz się, kiedy mniemasz, że człowiek we wszystkim powinien dbać o swoje życie i oddalać od niego niebezpieczeństwo śmierci, choćby i tam gdzie się ono na nic nie przyda; a nie na to patrzeć, czy można żyć uczciwie i postępować, jak na dobrego człowieka przystoi. Nierozsądni zatem byłiby podług ciebie owi bohaterowie, którzy polegli pod Troją, a

między nimi i syn Tetydy, który tyle pogardził niebezpieczeństwem, gdy mu szło o to, aby się nie okrył hańbą, że choć matka bogini do pałającego żądzą największą zabicia Hektora w te słowa niejako się odezwała „Synu! jeśli się zemścisz za śmierć twego przyjaciela Patroklesa i zabijesz Hektora, sam zginiesz, bo zaraz cię po nim śmierć czeka”, on mało ważąc śmierć i niebezpieczeństwo, a więcej na to uważając, by nie żył bez sławy i pomsty przyjaciół, rzekł: „Niech umrę, byłem się pomścił krzywdy i nie był wyśmiany na mej flocie jako próżny ciężar ziemi”. Nie widzisz więc, iż pogardził śmiercią i niebezpieczeństwem? Tak jest w istocie, Ateńczycy! Podług tego, jak kto co sam zacznie i uważa za dobre lub mu co inni wskażą, powinien być stałym, na nic nie zważając, a nawet i na śmierć, byle nie ściągnął dla siebie niesławy. I ja więc, Ateńczycy, źle bym i niestosownie postąpił, gdybym nie opuściwszy wtenczas placu i nie uważając na śmierć, gdy mnie wasi wodzowie do bitwy pod Potideą, Amfipolis i Delią stawili, teraz, gdy mnie sam Bóg wzywa, jakem poznał i domyślił się, abym żył, szukając prawdy, poznawał siebie i innych, w tym z obawy śmierci lub czego innego, nie dopełnił mojego przeznaczenia. Źle bym sobie w tym razie postąpił; i prawdę mówiąc, słusznie by mnie wtenczas mógł kto pociągnąć do sądu, że nie wierzę w bogów, kiedy nie słucham wyroczni; obawiam się śmierci, a uważam się za mędrca, nie będąc nim bynajmniej tym sposobem: albowiem obawiać się śmierci, niczym innym nie jest, jak udawać się za mędrca, a nim nie być. Udawać zaś, że się coś wie, jest to samo co nic nie wiedzieć; bo nikt nie wie, czy śmierć nie jest największym dobrem dla ludzi. Obawiają się jej stąd, jak wiecie, że mówią, iż jest największym złem. Lecz czyliż to nie jest tylko godny nagany nierozsądek, uważać to za złe, sądzić o tym, czego się nie zna. Ja zaś tym tylko od innych się różnię, jeśli mogę powiedzieć o sobie, że jestem od innych mędrszy: że kiedy nie wiem, co się z człowiekiem po śmierci dzieje, tego też nie utrzymuję, że wiem i to tylko znam, że znieważać i nie słuchać lepszego od siebie człowieka lub boga, jest największym złem i hańbą. Oto więc złe, którego się boję i którego będę unikał, bo wiem, że złe: a nie mniemanych złych rzeczy, które mogą być dobrymi. Tego nie odstąpię, choćbyście mnie tu zaraz uwolnili, nie wierząc Anytowi, który twierdzi, że albo wcale nie należało mnie tu pociągać, albo że skoroście mnie pociągnęli, puścić bez kary śmierci nie możecie; bo jeśli mnie puścicie, zepsują się zaraz wasi synowie, chwytając się tego, czego nauczam. Choćbyście do mnie tak nawet przemówili: „Sokratesie! Nie usłuchamy Anyta, uwolnimy cię, ale pod tym warunkiem, abyś nie zajmował się już odtąd poznawaniem i szukaniem prawdy; bo jak jeszcze raz będziesz o to przekonany, na śmierć skazany zostaniesz”, gdyby, mówię, tak chcielibyście mnie

uwolnić, odpowiedziałbym wam: szanuję was, Ateńczycy, i poważam, ale Bogu muszę być więcej posłuszny niż wam i dopóki tylko żyć będę i sił nie utracę, nie przestanę szukać prawdy, wzywać was i pokazywać ją wam, a kogo z was spotkam, mówić do niego: „O, najlepszy między ludźmi! Jakże będąc Ateńczykiem z miasta największego i prawie najświetniejszego w Grecji przez oświecenie i potęgę, nie wstydzisz się myśleć tylko o pieniądzach, abyś ich miał jak najwięcej, o sławie i honorach, abyś się z nich wynosił, a o rozumie, prawdzie i o duszy, abyś ją udoskonalił, nie masz starania i nie myślisz?!” Jeśli mi zaś kto z was przeciwnie odpowie i oświadczy, że się tym zajmuje, nie puszczę ja go zaraz i nie odstąpię, lecz wybadam, poznam i przekonam się; a gdy okaże się, że nie ma cnoty i w mowie ją tylko udaje, naganie, że rzecz najważniejszą mało sobie waży, a niewartą niczego wiele ceni. To ja powiem każdemu, z kim się tylko spotkam, czy z młodym, czy ze starym, czy z cudzoziemcem, czy z obywatelem, a tym bardziej wam, którzy z jednego ze mną pochodzicie rodu. Tak bowiem rozkazuje Apollo, wiecie dobrze; i ja sądzę, że nie mogę większej dla was w Rzeczypospolitej uczynić przysługi, jak gdy to robię, co on każe; zajmuję się przekładaniem wam, młodym i starym, byście nie pierwsi mieli staranie o ciele, o pieniądzach lub czym innym, nim o duszy, aby była dobrą; wystawiam wam, że nie z bogactw cnota, lecz bogactwa z niej pochodzą i wszelkie inne dla ludzi tak prywatne, jak publiczne dobro. Jeżeli więc głosząc te rzeczy, psuję młodzież, muszą one być szkodliwe; albo gdy kto powie, że nie te głoszę, odpowiem, fałsz utrzymuje. A wy, Ateńczycy, czy usłuchacie Anyta, czy nie, czy mnie uwolnicie, czy nie, nie przestanę tego samego robić, choćbym nawet kilka razy miał umierać. Nie gniewajcie się, Ateńczycy, lecz ze spokojem, o com was prosił, posłuchajcie, co mówię, bo jak sądzę, nie będzie to dla was bez korzyści. Mam wam coś innego powiedzieć, na co może znowu z krzykiem odpowiecie. Nie czyńcie jednak tego. Bądźcie pewni, że jeżeli mnie na śmierć skazecie w takim stanie, jak teraz mówię, sami sobie więcej niżeli mnie zaszkodzicie: gdyż mnie nie zrobią nic złego Melit i Anyt, nie potrafią bowiem. I byłoby, jak sądzę, niesłuszną wcale rzeczą, aby dobry od złego miał co ucierpieć. Może mnie na śmierć skazą albo na wygnanie lub utratę praw obywatelskich. Anyt i kto inny uważa to pewno za bardzo wielkie zło, ale ja bynajmniej; owszem to mam za największe zło, co teraz Anyt robi: niesprawiedliwie nastawać na śmierć niewinnego człowieka. Nie za sobą więc tu przemawiam, Ateńczycy, jak kto może mniemać, lecz za wami, byście się nie stali winnymi względem daru boga dla was zesłanego, przez potępienie mnie. Jeśli bowiem mnie na śmierć skazecie, niełatwo znajdziecie kogo innego tak prawie od boga dla Rzeczypospolitej

zesłanego, który by podobnie, może niestosownie się wyrażę, jak roślemu i kształtnemu z postaci, lecz dla otyłości powolnemu koniowi dodaje się bodźca, aby był do biegu prędzsy, on jak ja was pobudzał, podniecał, zachęcał i każdego dnia na was wołał. Takiego drugiego niełatwo znajdziecie, Ateńczycy! Zatem jeśli rad moich usłuchacie, uwolnicie mnie. Lecz wy pewno, gniewając się, tak jak drzemiący, gdy ich kto przebudzi, odepchniecie mnie od siebie i jak chce Melit, skazecie na śmierć, abyście potem cały czas spali, dopóki Bóg, nareszcie zlitowawszy się nad wami, drugiego wam nie ześle. Możecie i stąd poznać, Ateńczycy, że dla Rzeczypospolitej jestem zesłany: bo więcej to jest niż na człowieka, porzucić wszystko, być obojętnym przez tyle lat na wszystkie domowe sprawy, by chodzić od jednego do drugiego z was i zachęcać jak brat starszy lub ojciec do starania się o cnotę. Gdybym co stąd zyskiwał i brał nagrodę za moje usługi, nic złego bym nie robił. Lecz nie! Jednak moi oskarżyciele, jak we wszystkim, co mi zarzucali byli bezwstydnymi, tak i w tym nie powstydzili się dowodzić świadkami, że ja brałem kiedy zapłatę lub jej żądałem. Dostatecznym zaś tego, co o sobie mówię, dowodem jest moje ubóstwo.

Ale może wam się to zdawać będzie zbyt dziwnym, że ja prywatnie do każdego chodzę i udzielam mej rady, a publicznie przed ludem nie śmiem jej dla Rzeczypospolitej objawić. Przyczyną tego jest, jakieście już ode mnie słyszeli, duch jakiś boski i niewidzialny, który mną kieruje. Toż samo mi Melit, choć z szyderstwem w swej skardze zarzuca. Widziano tę osobliwość we mnie zaraz od samego dzieciństwa. Jest nią głos jakiś, który mnie zawsze odwodzi od tego, co bym chciał robić, a nigdy nie zachęca. On mi zabrania udawać się do spraw publicznych i jak mniemam, dobrze czyni: wiecie bowiem, że już dawno byłbym nie żył i wdając się do spraw publicznych, nic dobrego bym dla was ani dla siebie nie zrobił. Nie gniewajcie się, Ateńczycy, gdy wam powiem prawdę! Ktokolwiek u was, jak u każdego ludu, otwarcie się odezwie i powstanie przeciw zdrożnościom i nieprawościom w Rzeczypospolitej, nie uniknie kary, wypada zatem, aby kto się ujmuje za prawością, jeśli ma przez czas jakiś ocaleć, żył prywatnie, a nie występował publicznie. Przytoczę wam tego wielkie dowody, nie w słowach, ale w rzeczach, które sami wielce poważacie. Posłuchajcie, co mi się zdarzyło, abyście poznali, że z obawy śmierci, zdania mego o tym, co uważam za nieprawe, nigdy nie zmieniłem, choćby mi nawet przyszło umrzeć. Co powiem, nie podoba się wam zapewne i zdawać się będzie chępliwe: jest jednak zawsze prawdą. Wiecie, żem nie piastował nigdy żadnego w Rzeczypospolitej urzędu, tylko do obrad Senatu należał. Prezydowało wtenczas w prytanejonie nasze antiocheńskie pokolenie, gdyście

dziesięciu owych wodzów za to, że nie ratowali poległych w bitwie morskiej, sądzić chcieli bez rozpoznania sprawy, wbrew prawom, jakieście potem sami to uznali. Wówczas ja tylko jeden z zasiadających w prytanejonie oparłem się temu; a choć mówcy gotowali się mnie za to skarżyć i wyście także z wrzawą powstawali, wołałem się jednak narazić na niebezpieczeństwo w obronie prawa i sprawiedliwości, niż z obawy kajdan lub śmierci zgodzić się z wami na tak wielką niesłuszność. Było to jeszcze za czasów demokracji w Rzeczypospolitej. Skoro zaś nastąpiła oligarchia, owych trzydziestu przyzwawszy mnie do siebie, z czterema innymi do Tolos wysłało, bym sprowadził Leona Salamińczyka, którego na śmierć skazali. Polecili toż samo wielu innym zrobić, chcąc jak najwięcej osób przez to zohydzić. Lecz ja pokazałem im zaraz nie w mowie, lecz w skutku, że śmierci, jak wam prosto mówię, bynajmniej się nie boję, ale tego tylko, abym w czym bezbożności i niesprawiedliwości nie popełnił. Ani więc ów rząd trzydziestu nie potrafił na mnie wymóc, bym co uczynił przeciw sprawiedliwości. Kiedym wyszedł z Tolos, czterech innych udało się do Salaminy i Leona sprowadziło; ja tymczasem pośpieszyłem do domu i byłbym niezawodnie śmierć za to poniósł, gdyby nagle rząd się nie zmienił. Wielu wam o tym zaświadczyć może! Czy więc sądzicie, że byłbym tyle lat przeżył, gdybym był do spraw publicznych się wdawał i postępując z godnością uczciwego człowieka, bronił sprawiedliwości i jak należy dbał o nią jedynie? Niepodobna, Ateńczycy! Bo nikt w takim razie nie był tyle szczęśliwy; tym bardziej ja, który przez cały bieg życia i ile razy należałem do spraw publicznych, zawsze byłem w moim stały i równie w zatrudnieniach prywatnych nie dozwalałem nikomu nic przeciw sprawiedliwości czynić ani z tych żadnemu, których moi potwarcy za uczniów moich uważają; bo ja nigdy niczym nie byłem nauczycielem, tylko jeśli kto chciał mnie słuchać, gdym mówił, czy z młodych, czy ze starszych, nie broniłem ani za rozmowy nie brałem pieniędzy, tak, iżbym bez nich nikomu nie miał odkryć myśli moich; lecz owszem jednakowo pozwalałem każdemu, tak ubogiemu, jak bogatemu, zapytywać się mnie, w czym ma wątpliwość, odpowiadać na moje zdania i znowu słuchać, co powiem. Jeśli zaś między takimi znajdzie się kto dobry, czy zły, niesłusznie przypisywano by mi tego przyczynę; bo ja nikomu nigdy nie dawałem nauki ani przepisów; i jeżeliby kto powiedział, że się ode mnie nauczył lub usłyszał, czego by inni nie słyszeli, bądźcie pewni, że fałsz by utrzymywał. Dlaczego zaś wielu lubi długo przy mnie przebywać, słyszeliście, Ateńczycy! Powiedziałem wam prawdę, że im się podoba słuchać, gdy wytykam tych, co uchodzą za mędrców, a nie są nimi; nie jest to bowiem bez przyjemności, a mnie od Boga polecane przez wyrocznie, sny i inne sposoby, którymi

wola bogów objawia, co człowiekowi do uczynienia. Oto macie prawdę bardzo dowodną! Jeżeli młodych psuję albo zepsułem, wypadaloby, aby dorośli, gdy poznali, że ich do złego poprowadził, teraz przeciw mnie ze skargą i żądaniem kary wystąpili albo przynajmniej, gdy sami nie śmieją, ich krewni, ojcowie, bracia i inni powinowaci, ujmując się za tymi, którzy do ich rodziny należą, przeciw mnie się odezwali i domagali kary za to, że ich na złe naraziłem. Tak z jednych, jak drugich, jest tu wielu obecnych, których widzę, a najprzód oto tego Kritona, mojego rówieśnika, z jednegoż ze mną pokolenia, potem ojca tego, Kritobula, dalej Luzaniasza Sfetyjczyka, ojca tego tu Eschinesa i tego Antifona Cefizyjczyka, ojca Epigenesa; wielu podobnie innych, których bracia zawsze przy mnie przebywali, jako Nikostrat, syn Zotyda, brat Theodota, który, gdyż nie żyje, nie mógł mu teraz nakazać milczenia. Widzę jeszcze Parala, syna Demodoka, brata Teagesa, Adimanta, syna Arystona, brata Platona; nareszcie Ajantodora, brata Apollodora. Mnóstwo innych mógłbym tu wymienić, z których Melitowi należało kogo w skardze za świadka przywieść. Jeżeli wtenczas zapomniał, niechże teraz przywiedzie. Pozwalam, niech ten zezna, jeżeli ma co takiego; lecz przeciwnie znajdziecie, Ateńczycy, wszystkich gotowych biec mi na pomoc, mnie, który ich do złego poprowadziłem i który ich krewnych, jak mówi Anyt i Melit, złego nabawiłem. Może ci, których zepsułem, mają jakiś powód mnie bronić; ale ci, którzy niezepsuci, a dojrzałsi w wieku, powinowaci tamtych, jakże inny mieliby powód ujmować się za mną, jeżeli nie samą prawość i sprawiedliwość? Bo są przekonani, że Melit fałsz utrzymuje, a ja prawdę mówię. Tak niezawodnie, Ateńczycy! Co bym mógł wyrzec na moją obronę, to jest niezawodnie i wiele podobnych rzeczy. Ale może kto z was przypomniałszy sobie, że w daleko mniejszej sprawie wzywał i błagał ze łzami litości sędziów, przedstawiał im swe dzieci, przyjaciół, krewnych, by większą wyjednał dla siebie łaskawość, gniewać się będzie na mnie, że ja tego wcale nie robię, choć w daleko większym znajduję się niebezpieczeństwie; może, mówię, kto tym obrażony z gniewem przeciw mnie zdanie swe wyrzeknie? Temu ja, jeśli będzie taki, czego nie przypuszczam, zdaje mi się, że stosownie odpowiem, gdy w te słowa do niego się odezwę: Przyjacielu! Mam i ja krewnych: bo jak Homer mówi, „nie powstałem z drzewa, ani ze skały”. Prócz krewnych mam w domu synów, jeden doroślejszy, a dwaj młodszy. Nie przyprowadziłem ich tu jednak, bym przez nich łaskawsze sobie u was o mnie wyprosił zdanie. Czemu zaś tego nie zrobiłem? Nie, abym miał być uparty i mało sobie was poważać (bo że jestem na śmierć obojętny, to rzecz inna), lecz dla sławy mojej, waszej i całej Rzeczypospolitej, nie sądzę za przyzwoite, abym co podobnego uczynił,

zwłaszcza, gdy jestem w tym wieku i taką mam sławę, czy prawdziwą, czy fałszywą, zawsze jednak podług zdania wszystkich, wyższy od innych. Gdyby więc i z was ci, którzy zdają się odznaczać mądrością, męstwem lub czymkolwiek dobrym, tak sobie postąpili, ściągnęliby na siebie niesławę; jak często widziałem wielu, co się zdawali czymś, a jednak, skoro przed sądem stanęli, dziwactwa robili, mniemając, że im się coś złego stanie, gdy będą umrzeć musieli, a skoro wy ich zachowanie przy życiu, zostaną nieśmiertelnymi. Tacy zdaje mi się wstyd Rzeczypospolitej przynoszą: bo niejeden cudzoziemiec może stąd wnosić, że owi Ateńczycy, co celują przed innymi we wszystkim dobrym i którym w rządzie, w godnościach, wszyscy przyznają pierwszeństwo, nie lepiej postępują nad kobiety. Nie przystoi zatem, Ateńczycy, abyście wy, co się zdajecie być czymś wyższym, mieli sami to czynić albo pozwolili, aby mi to czynili. Lecz owszem powinniście pokazać, że bardziej potępiać takich, co dla litości wprowadzają podobne przed sąd sceny i wystawiają tym sposobem Rzeczpospolitą na pośmiewisko, aniżeli tych, co się spokojnymi na wszystko okazują. Prócz sławy, która na to nie pozwala, zdaje mi się jeszcze niesłusznym wcale błagać prośbami sędziów i wyjednywać przez nie łagodny u nich wyrok. Owszem, trzeba im wystawić stan sprawy i o prawdzie przekonać: nie na to bowiem zasiadają w sądzie, aby ze sprawiedliwości łaski komu świadczyli, lecz aby ją ściśle wymierzali: bo przysięgają, że dla nikogo względny się nie okażą, ale podług praw wyrokować będą. Nie wypada zatem, abyśmy was do łamania przysięgi przyzwyczajali, a wy nas w tym utwierdzali, gdyż razem byśmy wykraczali. Nie chcecie przeto, Ateńczycy, bym miał to względem was robić, co nie uważam ani za szlachetne, ani za przyzwoite, ani za zgodne z sumiennością religijną. Tym bardziej zaklinam was na Boga, nie żądajcie tego, gdy mnie ten Melit o bezbożność posądza: albowiem gdybym was prośbami nakłaniał i wiódł do tego, co się sprzeciwia waszej przysiędze, dałbym wam poznać, że nie wierzę w bogów i sam w swej obronie obwiniłbym się o niewiarę. Od niej zaś bardzo daleki jestem, Ateńczycy! Bo więcej wierzę w bogów jak żaden może z moich oskarżycieli i równie Bogu jak wam polecam sprawę moją w tym, co dla was i dla mnie jest najlepsze.

Domówienie po osądzeniu

Że mnie to wcale nie obchodzi, Ateńczycy, żeście mnie potępiłi, do tego prócz wielu innych powodów i to się przyczynia, że się spodziewałem podobnego wypadku. Dziwię się tylko, że tak mała wypadła liczba głosów przeciwnych; sądziłem, że wypadnie

większa: gdyby bowiem, jak się okazało, trzydzieści jeszcze inaczej wypadło, byłbym zupełnie wolny. Jednak co do skargi Melita, jestem, jak mniemam, uniewinniony i nie tylko uniewinniony, lecz, jak każdemu wiadomo, gdyby Anyt i Lykaon nie byli wystąpili ze swoimi przeciw mnie zarzutami, byłby on tysiąc drachm zapłacił, jako niemający piątej części głosów za sobą. Podaje on na mnie karę śmierci! Dobrze! Ale jaką ja znowu od siebie podam? Taką zapewne, na jaką zasługuję! — Jakąż więc? Na cóż powinienem być skazany albo co mam zapłacić za to, że umiając żyć, byłem zawsze czynny, tylko nie dbałem o to, za czym się inni uganiają, to jest o bogactwa, zyski, urzędy, godności wojskowe i inne! Za to, że nie należałem do żadnego ze spisków i buntów w Rzeczypospolitej, bom się uważałem zbyt uczciwym, bym miał dla ocalenia się do tego uciekać! Za to, że nie zajmowałem, w czym widziałem, że ani wam, ani sobie nie będę mógł być użyteczny, lecz spieszyłem z największym dla każdego, jak mówię, dobrodziejstwem, kiedym z osobna każdego upominał, aby pierwiej niż o swych rzeczach, o sobie samym myślał, aby ile mógł, starał się być najlepszym, najrozsądniejszym, nie wprzód wdawał się do spraw Rzeczypospolitej, dopóki by jej samej nie poznał i we wszystkim innym tąż samą drogą postępował! Za takie postępowanie cóż zasługuję? Czegoż się spodziewać mogę? Zapewne co dobrego, jeżeli sprawiedliwie wartość mej zasługi ocenicie! Nie byle jakiej zatem nagrody, lecz takiej, która by dla mnie była odpowiednią. Cóż więc może być odpowiednim dla człowieka ubogiego, dobroczyńcy waszego, który potrzebuje tylko spokoju, by wam ciągle rad swych udzielał? To, aby był utrzymywany kosztem publicznym w prytanejonie. Stosowniejszym to będzie, niżeli, aby był ten utrzymywany, który odniesie zwycięstwo na igrzyskach olimpijskich w ubieganiu się konno lub na wozach dwu- lub czterokonnych; bo taki robi tylko, że się zdajecie być szczęśliwymi, a ja, że nimi prawdziwie jesteście; tamten nie potrzebuje pomocy w utrzymaniu się, a ja bez niej obejść się nie mogę. Jeżeli więc sprawiedliwie postąpić zechcecie, przyznacie, że zasługuję na publiczne ze skarbu utrzymanie w prytanejonie. Może gdy to mówię, zdaję się wam zbyt śmiało za sobą przemawiać, podobnie jak kiedym wspominał o prośbach i wzbudzaniu litości. Ale nie tak się rzecz ma, Ateńczycy, tylko wiem, że nie względem nikogo z umysłu nie popełniłem żadnej niesprawiedliwości, lecz was o tym przekonać nie mogę, bo zbyt mało mam czasu do mówienia. Gdyby było u was prawo jak gdzie indziej karę śmierci nie po jednodniowym sprawie roztrząsaniu, lecz po dłuższym dopiero stanowić, pewno byście się o tym przekonali, lecz w tak krótkiej chwili jak teraz, niepodobna, bym wam wybił z głowy wielkie przeciw mnie zarzuty. Jednak, gdy mam

przekonanie, że względem nikogo niesprawiedliwości się nie dopuścił, trudno abym jej względem siebie się dopuszczał i przyznając, że zasługuję na karę, sam ją na siebie podawał. Czy to z jakiej obawy? Może abym nie był zmuszony ulec temu, na co mnie Melit skazuje, o czym jednak powiadam, że nie wiem, czyli co dobrego, lub złego. Więc powinienem podać na siebie to, co sam uważam za złe! Cóż takiego? Więzienie! Lecz za coż bym miał żyć jak niewolnik zostający pod ciągłą strażą dozorców? Może karę pieniężną i osadzenie w domu poprawy? Lecz byłoby to jedno [z tym], o czym dopiero wspomniałem. Pieniądzy zaś nie mam skąd [wziąć], bym zapłacił. Bez wątpienia zatem wygnanie! Sami byście to pewno na mnie podali. Lecz w tym razie przywiązanie do życia zbyt by mnie musiało zaślepić, iżbym nie poznał, że kiedy wy, współrodacy moi, nie mogliście znieść towarzystwa i rozmów moich, które wam się tak znienawidzonymi i naprzykrzonymi stały, że się teraz od nich uwolnić szukacie, inni łatwo je znosić mieli. Daleko więc od tego! Niestosownym nareszcie byłoby dla mnie w tym wieku opuszczać Ojczyznę, żyć na wygnaniu i jak nędzny tułacz od miasta do miasta chodzić. Wiem dobrze, że dokądkolwiek bym się udał, młodzież cisnęłaby się słuchać mnie jak tutaj; a gdybym przed nią stronił, wyrobiłaby mi u swoich starszych wygnanie; tak jak ci znowu, gdybym ich synom nie bronił cisnąć się do mnie, wygnaliby mnie za to. Może jednakże na to kto powie: „Sokratesie! Czyż milcząc i nie wdając się do niczego, nie będziesz mógł żyć spokojnie na wygnaniu?”. To jest właśnie, o czym was najtrudniej przekonać. Gdy wam powiem, że w takim być stanie, jest to samo, co być nieposłusznym Bogu, a stąd trudno nie wdawać się do niczego, nie uwierzycie, sądząc, że z was żartuję; a gdy jeszcze dodam, że największym jest dobrodziejstwem dla człowieka móc codziennie mówić o cnocie i tym wszystkim o czym mnie słyszeliście mówiącego i zastanawiającego się nad sobą samym i innymi (bo życie bez tego nie jest godnym życia), tym więcej nie uwierzycie moim wyrazom. Tak się ma rzecz w istocie, Ateńczycy, lecz wlać o niej w was przekonanie nie łatwo. Ja zaś nie przywykłem stanowić na siebie co złego, którego nie zasłużyłem. Gdybym miał pieniądze, wyznaczyłbym na siebie karę zapłacić tyle, ile bym mógł: albowiem nic bym na tym nie stracił. Lecz ich nie mam: chyba że przystaniecie, abym złożył tyle, ile będę w stanie. Ja zaś więcej nad jedną minę nie mogę, na tyle więc się skazuję. Ten Platon, Ateńczycy, i tamten Kriton z Kritobulem chcą za mnie 30 min zapłacić i dać na to zapewnienie. Taką ilość na siebie przyjmuję, a ci ręką dostatecznie za zapłacenie.

Niedługo będziecie słyszeli, Ateńczycy, wyrzuty i naganę od tych, którzy chcą szydzić z naszej Rzeczypospolitej, żeście zgubili Sokratesa, męża nadzwyczajnej mądrości.

Takim bowiem dla tym większej waszej obelgi nazywać mnie będą, choć nim nie jestem. Gdybyście byli cokolwiek jeszcze się zatrzymali, śmierć moja sama z siebie byłaby nastąpiła. Widzicie wiek mój, jak mało pozostaje mi już do życia i śmierć nie jest już daleka. Nie mówię tu do wszystkich, lecz tylko do tych, którzy mnie na śmierć skazali. Do nich jedynie przemawiam. Może sądzicie, Ateńczycy, że temu uległ przez to, że się niedostatecznie bronił, kiedy mogł być was sobie ująć, gdybym chciał wszystko powiedzieć i zrobić dla uniknięcia skargi. Bynajmniej! Uległem wprawdzie, ale nie przez brak dowodów w obronie, tylko przez brak śmiałości, bezwstydu i tego, że nie chciałem do was mówić, jakbyście radzi słuchać: to jest, abym przed wami łzy wylewał, błagał o litość i wiele innych rzeczy robił, które wcale, jak wam powiadam, mnie nie przystoją, a wyście je przywykli u innych słuchać. Nie uważałem dawniej za przyzwoite dla niebezpieczeństwa nieszlachetności się dopuścić; równie zatem i teraz w obronie nie chciałem się na to odważyć. Wolę raczej broniąc się, umrzeć teraz, niż żyć w niesławie i podłości: albowiem czy w sądzie, czy na wojnie, nie przystałoby mnie ani nikomu o tym tylko myśleć, jak śmierci uniknąć. Zdarza się często, że niejeden w bitwie łatwo by się od niej uchronił, gdyby broń porzucił i prosił o przebaczenie nieprzyjaciela. Podobnie w każdym niebezpiecznym położeniu wiele jest sposobów uniknąć śmierci, kiedy kto na wszystko i w mowie, i w czynach się odważy. Ale nie o to idzie, Ateńczycy, by trudno było śmierci uniknąć, tylko, aby uniknąć niesławy prędszej nad śmierć. Ja, ociężały starzec, doznam tego, co cięższe, rzadsze, a moi oskarżyciele, gwałtowniejsi i prędsi, tego, co prędsze, to jest zarzutu bezczelności. Ja odchodzę stąd skazany na śmierć, jakżeście mnie osądzili, oni zaś odchodzą okryci hańbą niegodziwości i niesprawiedliwości, jak ich prawda potępiła. Ja na moim, a oni niech także na swoim przestaną. Mniemam, że tak wypaść było powinno i dobrze wypadło. Co zaś potem nastąpi, pozwólcie, wy, coście mnie potępiłi, niech wam teraz objawię; w tym bowiem jestem stanie, w którym ludzie, gdy z tego świata schodzą, przyszłość często przewidują. Powiadam wam, Ateńczycy, że gdy z waszej przyczyny umrę, zaraz was po moim zgonie większa dosięgnie kara, większa, przysięgam wam na Boga, niżeli ta, na którą mnie, jak sądzicie, przez odebranie życia skazujecie. Robicie to w mniemaniu, że się uwolnicie od zdania sprawy z waszego życia, ale wcale inaczej przeciw waszemu oczekiwaniu wypadnie. Powiadam wam: znajdzie się później wielu takich, co was do tego pociągną. Wstrzymywałem ich dotąd, wyście o tym wcale nie wiedzieli. Będą oni względem was [tym] gwałtowniejsi, im są młodszy, a wy z tego więcej niż teraz mieć będziecie przykrości. Jeżeli sądzicie, że przez karanie śmiercią zapobiegniecie wyrzutom, które

by wam robiono, że źle żyjecie, mylicie się w zdaniu! Takie zapobieganie nie będzie ani skuteczne, ani przyzwoite: daleko szlachetniejsze i łatwiejsze, nie przeszkadzać nikomu w wyjawieniu swych myśli, a samym się starać, aby być jak najlepszymi. Tak przepowiedziawszy, co się stanie na przyszłość z wami, którzyście mnie za winnego uznali, odchodzę! Pozostaje tylko, bym do tych, którzy się za mną oświadczyli, przemówił o tym, co się teraz stało, nim przyjdą wykonawcy wyroku i zaprowadzą mnie, gdzie będę miał umrzeć. Zatrzymajcie się więc na chwilę! Pomówmy jeszcze z sobą, póki wolno, otwarcie! Chcę wam jak przyjaciołom dać poznać, co znaczy, co się ze mną stało, a o czym dopiero wspomniałem. Mnie bowiem, Sędziowie (tak was słusznie mogę nazwać), zdaje się to być osobliwszym. Dawniej miałem zwykle przecucie, które choć w najmniejszych rzeczach odwodowało mnie od wszystkiego, co by mogło być złe dla mnie. Teraz przeciwnie! Co na mnie przypadło, jak sami uważacie, jak można sądzić i sądzą powszechnie, jest największym złem: a mnie ani przy wyjściu rano z domu, ani gdy tu przed sądem stawał, ani gdy mówić zaczynał, przecucie bynajmniej nie wstrzymywało. Kiedy w innych razach wśród mowy często tamowało moje wyrazy i nie dozwalało je kończyć, teraz w niczym nie było mi przeciwne ani w rzeczach, ani w słowach. Cóż stąd wniosę? Oto powiem wam otwarcie, że co ze mną wypadło, jest dobre. Niestosownie sądzą, którzy śmierć za zło uważamy, dowodem tego jest, jakem powiedział, przecucie, które dałoby mi poznać, gdybym miał co złego doświadczyć. Rozważmy więc, ile rokować można, że jest czym dobrym. Umrzeć jest jedno z dwojga: albo nie być niczym i nie mieć żadnego czucia, albo jak mówią, jest przejściem duszy z tego świata na inny. Jeśli więc jest utraceniem czucia, tak jak we śnie, gdy kto mocno zaśnie, że mu się nawet nic nie śni, wielkim jest wtenczas śmierć dobrodziejstwem dla człowieka: sądzę bowiem, że gdyby kto z takich, co tak mocno kiedy spali, że im się nic nie śniło, miał powiedzieć, ile dni i nocy lepiej i przyjemniej nad tę jedną przepędził, sądzę że nie tylko prywatny człowiek, lecz nawet jaki wielki władca, niewiele by ich naliczył. Jeżeli więc czymś podobnym jest śmierć, powiadam, że jest wielkim dobrodziejstwem, bo cały czas nie zdaje się w niej niczym więcej nad noc jedną. Jeżeli zaś staje się przejściem duszy z tego świata na inny, gdzie, jak mówią, znajdują się wszyscy umarli, jakież może być większe dla człowieka dobrodziejstwo nad to, kiedy wstąpiwszy do innych krain, niezależących już wcale od tych mniemanych sędziów, znajdzie tam prawdziwych, którzy sprawiedliwość wymierzają, Minosa, Radamantysa, Eaka, Triptolemosa i innych półbogów, którzy za życia słusność i prawość we wszystkim zachowywali. Czyż więc przejście takie może być czym złym? Ileż by każdy z

was dał za to, by się mógł widzieć z Orfeuszem, Muzeuszem, Hezjodem i Homerem? Tak więc jeśli, com wam wspomniał, jest prawdą, nie raz, lecz więcej razy chciałbym umrzeć; albowiem przyjemne byłoby dla mnie towarzystwo, znalazłszy Palamedę, Ajaksa, syna Telamona i innych, jacy dawniej przez niesprawiedliwość sądu śmierć ponieśli. Miałbym pociechę, jak sądzę, porównywać los mój z ich przykrościami, a stąd największe ukontentowanie tam dochodzić i poznawać, kto tutaj prawdziwie mądrym, a kto nim nie będąc, takim się tylko udaje. Cóż byście teraz dali, Sędziowie, gdybyście mogli teraz znaleźć owego Ulisessa lub tego, co dowodził pod Troją, lub tysiące innych obojga płci osób, z którymi się zobaczyć, zabawić i rozmówić byłoby dla was największym szczęściem. Zapewne oni tam nikogo za podobne jak tu rzeczy na śmierć nie skazują; bo we wszystkim od żyjących tu szczęśliwsi, są ciągle nieśmiertelnymi, jeśli jest prawdą, co o nich mówią. I wy zatem taką powinniście względem śmierci cieszyć się nadzieją i tę prawdę zawsze mieć na względzie, że dla dobrego człowieka nie masz nic złego, ani w tym życiu, ani po śmierci i że sprawy jego bogowie nigdy nie zaniedbują. Ze mną teraz nie stało się nic przypadkowego, bo wiem, że umrzeć i od wszystkiego się uwolnić jest dla mnie tym, co tylko może być najlepszego. Dlatego mnie ani przecucie nie ostrzegało, ani się uskarżam na moich oskarżycieli, lubo ci nie w tym przekonaniu za winnego mnie podali i na karę skazali, lecz sądząc, że mi przez to co dokuczają: to jedynie można by im wyrzucić. Przecie ich jeszcze o jedno proszę, byście względem moich synów, gdy dorosną, podobnie surowi byli. Ateńczycy, dręcząc ich i nękając, tak jak ja was nękałem, jeśli zdawać się wam będą więcej dbać o pieniądze lub co innego, niżeli o cnotę i jeśli uchodzić będą za coś, nie będąc niczym w istocie, byście tak jak ja was gromiłem, ich także gromili za to, że się nie starają o to, o co powinni i że się uważają za coś, choć niczym nie są. Gdy to zrobicie, sprawiedliwie postąpicie ze mną i z moimi synami. Lecz już czas, bym was opuścił i poszedł na śmierć, a wy dla życia dalszego zostali! Kto z was czego lepszego doświadczy, samemu tylko Bogu wiadomo.

Przeczytaj także:

Obrona Sokratesa – Streszczenie szczegółowe

Obrona Sokratesa – Streszczenie krótkie

Obrona Sokratesa – Problematyka utworu

Obrona Sokratesa – Biografia autora

Obrona Sokratesa – Biografia Sokratesa

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Plato, Dzieła Platona, przekł. F. Kozłowski, nakł. i druk. S. Orgelbranda, Warszawa 1845